PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 13

Skuteczność polskich sądów za granicą

• Batalie prawne przeciw kłamstwom historycznym
• Niemieckie sądy kontra polskie ofiary • Przeciwdziałanie polonofobii za granicą
• Unijna kasta na wojnie z Polską

FOT. ADOBE STOCK

PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

TYGODNIK DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

FOT. ADOBE STOCK

SPIS TREŚCI

51 MONIKA BRZOZOWSKA-PASIEKA, JERZY PASIEKA
PROCESY PRZYNOSZĄ DOBRE OWOCE
Z adwokatami zajmującymi się m.in. prowadzeniem spraw sądowych o kłamstwa historyczne rozmawia Piotr Włoczyk

56 LECH OBARA, SZYMON TOPA
NIEMIECKI TARAN PRAWNY
Potomkowie sprawców wojny zatrzymują egzekucję prawdy historycznej, a winowajcy przebierani są w szaty ofiar

60 ZUZANNA DĄBROWSKA
RAK POLONOFOBII
Polonofobia za granicą jest zjawiskiem, które wciąż ma się dobrze. Co prawda, masowa pomoc Polaków dla ukraińskich uchodźców nieco przesłoniła produkowane na wielką skalę kłamstwa o naszym kraju, jednak nie oznacza to, że uporaliśmy się z problemem

64 KAROL GAC
PE PRZECIW POLSCE
Od przejęcia władzy w 2015 r. Zjednoczona Prawica mierzy się z bezpardonowymi atakami na Polskę w Parlamencie Europejskim, które prowadzone są pod hasłem „walki o praworządność”

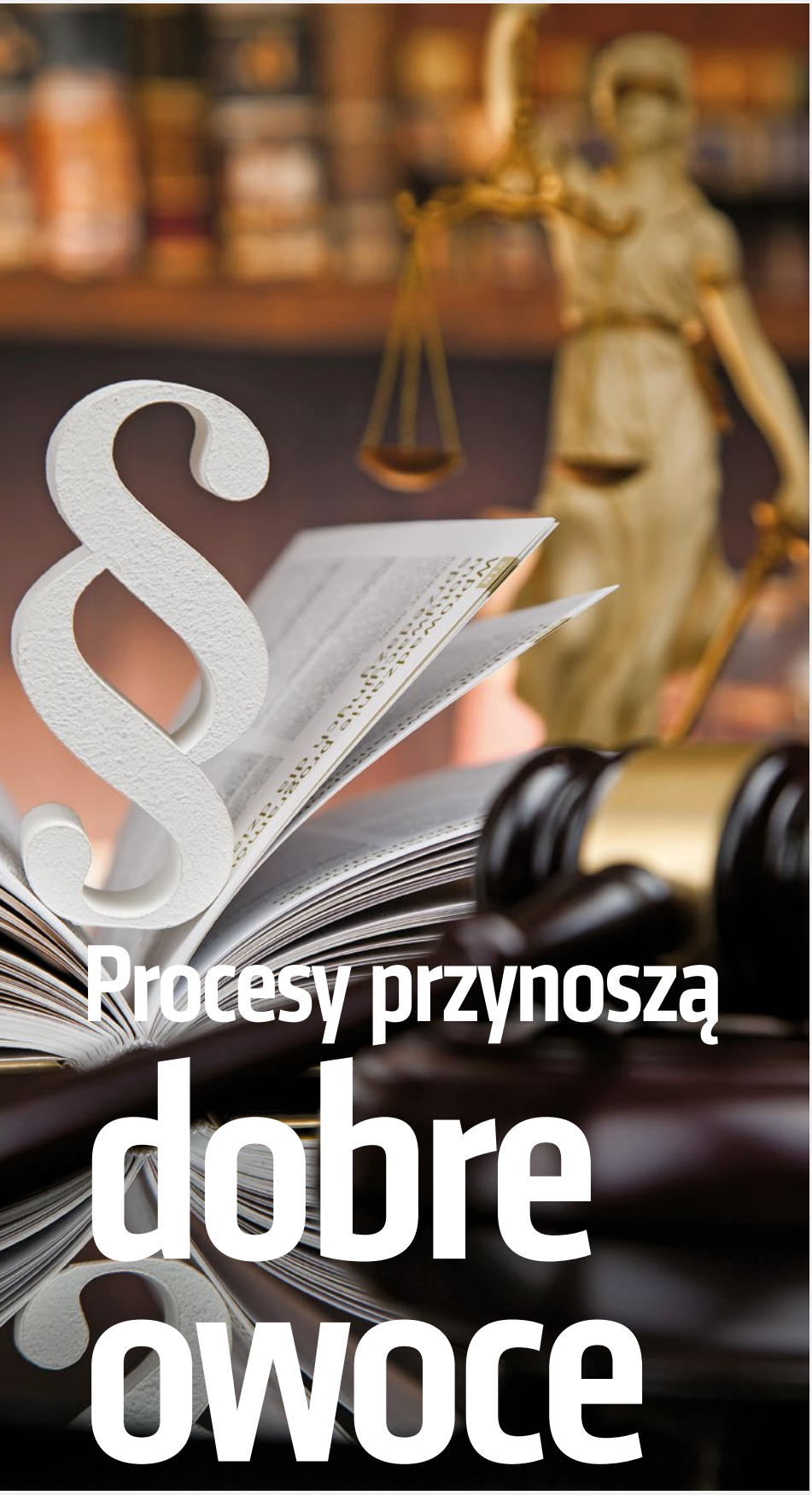

Procesy przynoszą dobre owoce

FOT. ADOBE STOCK

Z mecenasami Moniką Brzozowską-Pasieką oraz Jerzym Pasieką

rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Już od dekady prowadzą państwo sprawę z powództwa mjr. Zbigniewa Radłowskiego oraz Światowego Związku Żołnierzy AK (ŚZŻAK), którzy pozwali twórców niemieckiego serialu „Nasze matki, nasi ojcowie", żądając przeprosin za to, jak przedstawieni zostali w nim akowcy. Co pokazuje ta sprawa?

DR MONIKA BRZOZOWSKA-PASIEKA: Przede wszystkim to, jak trudne są procesy o kłamstwa historyczne wytaczane zagranicznym podmiotom. Ta sprawa była od początku niezwykle skomplikowana. Zaczęliśmy ją w 2013 r., więc obchodzimy właśnie dziesięciolecie, a powodowie wciąż czekają na sprawiedliwość.

Udało się państwu uzyskać prawomocny wyrok nakazujący opublikowanie przeprosin za kłamliwe przedstawienie AK jako organizacji antysemickiej, ale twórcy serialu złożyli skargę kasacyjną i z powodu zamieszania prawnego w Sądzie Najwyższym końca tej sprawy nie widać...

JERZY PASIEKA: Mamy prawomocny wyrok, ale jego wykonanie jest wstrzymane do momentu rozpoznania kasacji. Niestety, spór o kształt wymiaru sprawiedliwości odbija się na działaniu SN, co dodatkowo opóźnia definitywne zamknięcie tej sprawy.

Major Radłowski ma 98 lat, więc czas nie gra na jego korzyść. Można odnieść wrażenie, że w sprawach sądowych z historią w tle obrońcy pozwanych liczą często, że biologia „zrobi swoje" i proces zostanie w ten sposób zakończony po ich myśli. Przypomnijmy tylko, że pan Karol Tendera, który pozwał ZDF za użycie frazy „polskie obozy zagłady", nie doczekał końca tej sprawy...

M.B.P: Tak, czas ewidentnie nie gra na korzyść polskich ofiar drugiej wojny światowej, które poczuły się obrażone przez kłamstwa historyczne. Tym bardziej należy się im szacunek za to, że w tak podeszłym wieku znajdują w sobie jeszcze tyle siły, by chodzić do sądów i prostować wykrzywione opowieści o polskiej historii. Przypomnijmy choćby sprawę pani Filomeny Leszczyńskiej – uzyskaliśmy korzystny wyrok w I instancji, potem niekorzystny w II instancji i w momencie, kiedy mieliśmy

gotową skargę kasacyjną, pani Leszczyńska zmarła. A według mnie, w świetle orzecznictwa ETPC, miałaby duże szanse przed naszym Sądem Najwyższym.

Tym bardziej szkoda więc pierwszych trzech lat, gdy w sprawie serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" nie działo się właściwie nic. Niestety, nie było widać większej aktywności ze strony sędzi, która wylosowała tę sprawę. Dopiero kiedy sprawę przed Sądem Okręgowym w Krakowie przejął sędzia Kamil Grzesik, proces „ruszył z kopyta". To pokazuje, jak wiele zależy od sędziego, jego sprawności i przygotowania merytorycznego. Sędzia przeprowadził całość postępowania dowodowego w ciągu dwóch lat, co w polskich warunkach jest bardzo dobrym wynikiem. Wysłuchano bardzo wielu świadków, przeprowadzono analizy biegłych, kilka rozpraw zajęło nam oglądanie filmów (strona pozwana dołączyła również inne filmy i sąd zdecydował je obejrzeć), wszyscy zaangażowani w tę sprawę mieli bardzo dużo pracy. Druga strona podnosiła, że przeprosiny są bezzasadne, ponieważ twórcom serialu przysługuje wolność artystyczna i wolność słowa. Twierdzili oni, że ich produkcja nie była wiernym opisem historycznym, lecz była to fikcja. A przede wszystkim podnoszony był zarzut, że sąd polski nie jest właściwy. Sąd nie uznał jednak tych argumentów, a wyrok był zgodny z oczekiwaniami powodów.

Niestety, w II instancji pojawił się zarzut, że rozpoznający sprawę jeden z sędziów może nie być niezależny, co opóźniło proces, ale jednak twórcy serialu znów przegrali. Wciąż czekamy na wynik skargi kasacyjnej.

Początki takich spraw były trudne, ponieważ adwokaci nie mieli odpowiednich narzędzi prawnych, by w polskich sądach dochodzić praw Polaków, którzy poczuli się obrażeni kłamstwami historycznymi kolportowanymi przez zagraniczne podmioty. Co było w tym kontekście najbardziej problematyczne?

M.B.P.: Gdy zaczynaliśmy reprezentować przed sądem mjr. Radłowskiego i ŚŻŻAK, praktycznie równolegle występowali do sądu w sprawie pana Karola Tendery mec. Lech Obara i mec. Szymon Topa. My działaliśmy sami, z czasem pomagać zaczęła nam – przy tej i innych sprawach – Reduta Dobrego Imienia (RDI), a mec. Obara i mec. Topa reprezentowali stowarzysze-

Od lewej: mec. Jerzy Pasieka, mec. Monika Brzozowska-Pasieka oraz mjr Zbigniew Radłowski FOT. JACEK BEDNARCZYK/PAP

nie Patria Nostra. Nasze procesy były prowadzone w zasadzie równolegle. W tamtym czasie inne kancelarie nie zajmowały się takimi sprawami. Zaprzyjaźniliśmy się z mecenasami ze stowarzyszenia Patria Nostra, ponieważ uznaliśmy, że łącząc siły, będziemy skuteczniejsi w przecieraniu tego niezbadanego szlaku.

Mecenas Obara wspominał w wywiadzie dla „Do Rzeczy", że to było autentyczne „wykuwanie narzędzi", których polskie prawo wcześniej nie znało...

J.P.: To prawda. Była to prawna terra incognita. Z tego, co wiem, nikt inny poza nami nie zdecydował się na prowadzenie tego typu spraw, co więcej – część prawników w branżowych pismach podnosiła, że sąd polski nie powinien się tym zajmować, ponieważ nie jest właściwy. Początkowo nie mogliśmy się nawet powoływać na orzecznictwo polskie, ponieważ takie orzecznictwo po prostu nie istniało. Musieliśmy więc szukać pomocy w wyrokach sądów międzynarodowych.

Problemem było nazwanie naruszonego dobra?

M.B.P.: Tak. Nie wiedzieliśmy początkowo, jak nazwać to dobro osobiste. Przypomnę tylko, że art. 23 Kodeksu cywilnego wymienia katalog dóbr osobistych, m.in. godność, cześć oraz wizerunek. Bardzo pomogli nam w tym prof. Aurelia Nowicka oraz dr Filip Rakiewicz. Napisali oni – w tym samym czasie i chyba nawet pod wpływem naszych procesów – tekst naukowy o tożsamości narodowej. To był przełom, który wprowadził nową kategorię dobra osobistego. Kodeks cywilny powstał w latach 60., gdy katalog dóbr osobistych był ograniczony, i przez ten czas wiele nowych dóbr pojawiło się w orzecznictwie. Przykładem jest choćby prywatność, której w latach 60. w ogóle nie przewidywano. W podobny sposób „wykute" zostało przez nas w polskim orzecznictwie prawo do tożsamości narodowej.

Dziś może się to wydawać czymś oczywistym, ale 10 lat temu była to istna „prawnicza droga przez mękę". Posługiwaliśmy się na tej drodze orzecznictwem Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPC), czyli orzecznictwem międzynarodowym w zakresie tego dobra osobistego. W pewnym stopniu pomogły nam nawet roszczenia żydowskie. To bardzo ciekawa sprawa. W latach 80. i 90., zwłaszcza w Niemczech, Żydzi wchodzili na drogę sądową przeciwko różnym organizacjom czy osobom za naruszenie ich godności. Jeden z pierwszych wyroków zapadł w latach 80., gdzie powodem był wnuk więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego, który pozwał swojego sąsiada za naruszenie dóbr osobistych spowodowane obrażeniem Żydów jako narodu, bez wymieniania konkretnych osób. I wygrał – również przed ETPC. Natomiast najsłynniejszym przykładem była sprawa sądowa wytoczona PETA – organizacji broniącej praw zwierząt.

PETA postanowiła wstrząsnąć opinią publiczną, porównując hodowle zwierząt do Holokaustu...

M.B.P.: Trudno się więc dziwić, że ofiary Zagłady były oburzone tą kampanią. Została ona przez nich zablokowana w Niemczech. Niemieckie sądy przyznały im rację, podobnie jak Europejski Trybunał Praw Człowieka, który musiał rozstrzygnąć, czy zablokowanie takiej kampanii społecznej narusza wolność słowa. Trybunał – cytując zresztą Immanuela Kanta i przywołując wiele innych swoich wyroków – wskazał, że stwierdzenia w rodzaju „Holokaust na talerzu" są obrażające dla wszystkich więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych i naruszają godność ofiar drugiej wojny światowej. I to m.in. na to orzeczenie powołaliśmy się, prowadząc sprawę mjr. Radłowskiego i ŚZŻAK.

> **Początkowo polskie sądy, podobnie zresztą jak doktryna,** nie były skłonne zajmować się takimi sprawami

Kolejnym problemem było miejsce rozpoznawania sprawy. To, że polski sąd będzie się wypowiadał w sprawie serialu wyprodukowanego przez Niemców, wcale nie było takie oczywiste. Jak to wcześniej wyglądało?

M.B.P.: Początkowo polskie sądy, podobnie zresztą jak doktryna, nie były skłonne zajmować się takimi sprawami, twierdząc, że skoro pozwanym jest niemiecki podmiot, to powód powinien dochodzić swoich praw przed niemieckimi sądami. Znaleźliśmy wówczas wyrok dotyczący aktora Oliviera Martineza, Francuza, którego związek z Kylie Minogue został opisany przez portal internetowy Sunday Mirror. Powołał się on na francuski kodeks i kwestie dotyczące prywatności i wniósł sprawę do francuskiego sądu, z czym nie zgadzał się angielski dziennik. Francuski sąd zwrócił się z pytaniem prejudycjalnym do TSUE, który potwierdził możliwość pozwania zagranicznego wydawcy przed francuskim sądem, który był właściwy dla Martineza. Był to precedens, z którego skorzystaliśmy. Obecnie jest to już w UE powszechnie przyjęta praktyka.

Dziesięć lat temu musieliśmy jednak przekonywać polski sąd, że polski

obywatel jak najbardziej może pozywać na terytorium RP niemiecką telewizję czy portal internetowy, jeżeli poczuł się obrażony daną publikacją. Większość pozwu, oprócz opisu stanu faktycznego, zabrało uzasadnienie jurysdykcji polskiego sądu. To również była droga niezwykle trudna, a także – z drugiej strony – intelektualnie fascynująca. Przeszukiwaliśmy w bibliotekach prace doktorskie, które poruszały ten temat, przeanalizowaliśmy wiele orzeczeń TSUE, poszukiwaliśmy artykułów naukowych w branżowych wydawnictwach prawniczych on-line. Byliśmy całkowicie zaangażowani w tę sprawę, czego owocem były też nasze późniejsze publikacje naukowe. W tym czasie zaczęła nam pomagać Reduta Dobrego Imienia. Składaliśmy kolejne pozwy dotyczące kłamstw historycznych i okazało się, że sprawy te są przyjmowane, a polskie sądy w znacznej mierze przychylają się do argumentacji pozywających. Z biegiem czasu pojawiła się pewna linia orzecznictwa, co również pomogło pozwowi pierwotnemu, który dotyczył ZDF.

Własnoręczne „wykucie" nowych narzędzi prawnych musi dawać ogromną satysfakcję...

J.P.: Tak, procesy z historią w tle są dla nas bardzo ważne, głównie z uwagi na nasze rodzinne historie. Ja prowadzę praktykę od ponad 30 lat. W 2013 r. od ponad dekady zajmowaliśmy się sprawami z zakresu dóbr osobistych, ale to był pierwszy pozew, nad którego przygotowaniem spędziliśmy tak dużo czasu – ponad dwa miesiące... W kancelarii podzieliliśmy się pracą: część naszych adwokatów przeglądała wyroki ETPC, wszystkie dotyczące godności, inni analizowali kwestie jurysdykcji, część naszych aplikantów siedziała w bibliotekach, wertując różne niedostępne on-line prace naukowe, my z żoną uczestniczyliśmy w konferencjach naukowych i odbywaliśmy wiele spotkań z profesorami prawa. Wszystko po to, by przewidzieć każdy możliwy krok prawny. Wymierne rezultaty na sali sądowej były niezmiernie satysfakcjonujące. Ale – jak to się mówi – kto nie próbuje, ten już przegrał.

Jak już jednak wspomnieliśmy, skarga kasacyjna nie pozwala na razie zamknąć sprawy mjr. Radłowskiego i ŚŻŻAK.

Kadr z serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

J.P.: Tak, mamy prawomocne orzeczenie nakazujące ZDF przeproszenie, ale wyrok ten wciąż nie został zrealizowany. Jednak to, że można pozwać zagraniczne podmioty medialne szerzące kłamstwa historyczne, i fakt, że takie procesy mogą toczyć się w Polsce, należy uznać za ogromny sukces. W ten sposób druga strona nie czuje się już zupełnie bezkarna. Tym bardziej że nie mówimy tu tylko o jednym procesie. W 2018 r. uzyskaliśmy przykładowo kapitalny wyrok dla prezesa RDI, który postanowił pozwać portal Frankfurter Rundschau za sugestię, że Polacy jako naród brali udział w Zagładzie Żydów. I wygraliśmy. Potem mieliśmy jeszcze na koncie kilka sukcesów w sporach z zagranicznymi portalami. Część z nich zakończyła się ugodą.

Gołym okiem widać, że pozywanie niemieckich portali zaczęło przynosić dobre owoce. Właściwie nie słyszy się już w tej chwili, żeby niemieckie media mówiły o „polskich obozach zagłady" czy też „polskich gettach". Obecnie, gdy niemieccy wydawcy wiedzą już doskonale, że Polacy walczą przed sądami z takimi stwierdzeniami, a polski sąd może nakazać przeproszenie lub wypłatę zadośćuczynienia, niemieccy dziennikarze wiedzą, jakich słów powinni się wystrzegać. To najlepszy, najbardziej satysfakcjonujący owoc naszej pracy.

Nawiasem mówiąc, nasze interwencje w sprawach o kłamstwa historyczne nie dotyczą jedynie mediów zagranicznych. Wygraliśmy też z RDI proces wytoczony „Newsweekowi Polska" za tekst o rzekomych „polskich obozach koncentracyjnych". Sąd w Warszawie stwierdził, że nie wolno nazywać obozów instalowanych przez komunistów „polskimi obozami koncentracyjnymi", ponieważ narusza to dobra osobiste Polaków. To był precedensowy wyrok – przeszedł on przez dwie instancje, które orzekły dokładnie tak samo.

Jakby mało było problemów wiążących się z pozywaniem w Polsce za kłamstwa zagranicznych mediów, to w 2021 r. TSUE odpowiedział na pytanie prejudycjalne polskiego sądu w kontekście spraw historycznych. Wynika z niego, że o ile dana osoba nie została z imienia i nazwiska obrażona, o tyle nie można pozywać przed sądem krajowym medium działającego w innym kraju UE. Co to oznacza dla przyszłych procesów o kłamstwa historyczne?

J.P.: Nie przywiązywałbym aż tak wielkiej wagi do tego orzeczenia i mimo

Większość sędziów jest autentycznie zaciekawiona tymi sprawami i rozumie uczucia, jakie kłamstwa historyczne wywołują u ofiar niemieckich zbrodni

wszystko próbowałbym dalej pozywać przed polskimi sądami zagraniczne media kłamiące na temat naszej historii. Pamiętajmy bowiem, że jest ono sprzeczne z poprzednim orzeczeniami TSUE w takich sprawach.

Jak dziś wygląda skuteczność polskich sądów za granicą w sprawach o kłamstwa historyczne?

J.P.: Niestety, w żadnej ze spraw historycznych nie doszliśmy jeszcze do etapu egzekucji za granicą wyroków polskich sądów. Sprawa Karola Tendery pokazuje, że może być z tym problem, ponieważ niemiecki Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe zablokował wykonanie orzeczenia polskiego sądu, co było bardzo kontrowersyjną decyzją, zważywszy na automatyzm wykonywania wyroków na terenie UE. Skarga na ten krok skierowana została do ETCP, więc musimy jeszcze poczekać na ostateczne orzeczenie. I chociaż my również czekamy na rozpoznanie skargi kasacyjnej, to jednak nie mam poczucia, że nasze starania nie są tak skuteczne, jak byśmy tego chcieli.

Pamiętajmy, że dla ofiar drugiej wojny światowej ważne jest, iż kolejne instancje przyznają im rację. Mam wrażenie, że dla mjr. Radłowskiego i członków ŚZŻAK uzyskanie wyroku jest nawet ważniejsze niż jego egzekucja. To chyba porównywalna sytuacja do głośnego procesu, który rodziny ofiar zestrzelenia malezyjskiego samolotu wytoczyły w USA jednemu z rosyjskich separatystów z Doniecka. Wywalczyły one przed sądem amerykańskim olbrzymie odszkodowanie. Bliscy ofiar i ich pełnomocnicy przyznali, że egzekucja wyroku będzie praktycznie niemożliwa, ale jednak dla nich liczy się przede wszystkim decyzja sądu, gdzie jasno zostało powiedziane, kto odpowiada za tę zbrodnię. Daje to bowiem ofiarom namiastkę poczucia sprawiedliwości, które często jest właśnie przez te osoby tak bardzo oczekiwane. Polskie ofiary niemieckich zbrodni podobnie patrzą na te sprawy. Widzą, że państwo polskie dba o ich prawa i bierze pod uwagę ich uczucia narodowe. Ci ludzie naprawdę nie walczą przed sądem o pieniądze dla siebie, tylko o elementarną przyzwoitość, o poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość.

M.B.P.: Wciąż jest niemała szansa, że te wyroki zostaną wykonane. Często powtarzam aplikantom i studentom, że prawnik nie może się poddawać – trzeba walczyć do samego końca, do ostatniej instancji, bo czasami dopiero sądy takie jak ETPC przyznają rację stronie pokrzywdzonej. I sama trzymam się tej zasady.

Czy z państwa doświadczenia wynika, że polscy sędziowie są generalnie wyczuleni na fałszowanie naszej historii?

M.B.P.: W przypadku spraw z zakresu kłamstw historycznych widać profesjonalizm polskich sędziów. Prowadziliśmy wiele takich spraw i nie spotkaliśmy się po stronie sędziów z działaniami, które można byłoby uznać za kontrowersyjne. Sprawy rozpoznawane są w sposób poważny, nikt nigdy w naszej obecności nie pozwalał sobie na sali sądowej na jakiekolwiek komentarze, które wskazywałyby na brak wrażliwości dla uczuć ofiar drugiej wojny światowej. Powiedziałabym, że to działa wręcz w drugą stronę: większość sędziów jest autentycznie zaciekawiona tymi sprawami i rozumie uczucia, jakie kłamstwa historyczne wywołują u ofiar niemieckich zbrodni.

J.P.: Od strony intelektualnej takie procesy są bez wątpienia bardzo ciekawe zarówno dla adwokatów, jak i – wydaje mi się – sędziów, ponieważ bardzo różnią się od innych spraw, które rozpatrywane są w naszych sądach. Często też na sali sądowej towarzyszy nam publiczność. Pamiętam, jak podczas zeznań w sprawie serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" mjr Radłowski opowiadał o przyjaźni z pewnym lekarzem. I kiedy powiedział „Korczak – tak on się nazywał" cała sala zdała sobie sprawę, że faktycznie mamy unikalną możliwość obcowania z naszą historią. I to jest wartość dodana w tych procesach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mecenas Monika Brzozowska-Pasieka oraz mecenas Jerzy Pasieka są adwokatami z Kancelarii Pasieka, Derlikowski, Brzozowska i Partnerzy, zajmują się m.in. prowadzeniem spraw sądowych o kłamstwa historyczne.

Niemiecki taran

Lech Obara, Szymon Topa

Potomkowie sprawców wojny zatrzymują egzekucję prawdy historycznej, a winowajcy przebierani są w szaty ofiar

Niemcy znani są z prowadzenia skutecznej polityki historycznej. Udało im się przekonać świat, że zbrodnie przeciw ludzkości popełnione w okresie drugiej wojny światowej były spowodowane przez bliżej nieokreśloną organizację nazistów. Czyli jakąś grupę fanatyków, rasistów i ksenofobów różnej narodowości (według nich przede wszystkim kolaborantów z Europy Wschodniej), połączonych ideą nienawiści wobec Żydów.

W 2019 r. Katarina Barley, ówczesna szefowa niemieckiego resortu sprawiedliwości, bez żadnego skrępowania przy okazji rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej wypowiedziała następujące słowa: „Nie tylko dla nas, Niemców, jest to dzień wyzwolenia". Zdanie to wpisuje się w niemiecką politykę historyczną, której elementem jest budowanie przekonania, że Niemcy również są ofiarami wojny. Nie były to słowa przypadkowe. Dwa lata później, w trakcie uroczystości upamiętniających D-Day, sama kanclerz Angela Merkel nie obawiała się stwierdzić, że „ta niezwykła wojskowa operacja w końcu doprowadziła do wyzwolenia nas od nazistów".

Pokazuje to, że niemiecki establishment zarządza procesem kształtowania w społeczeństwie postawy depersonalizacji winy za drugą wojnę światową. Jest to oczekiwane przez społeczeństwo, które chce uwolnić się od brzemienia pamięci o zbrodniach popełnionych przez pokolenie ich dziadków i babć. Jak wyjaśniał prof. Stephan Lehnstaedt, niemiecki historyk i profesor w Touro College w Berlinie (uczelnia zajmująca się kształtowaniem pamięci o Holokauście): „Pamięć niemiecka podąża za kompleksami zbrodni, takimi jak Holokaust, »eutanazja«, prześladowania Sinti i Romów oraz homoseksualistów. Wina za wojnę i Holokaust jest niekwestionowana, ale jest też zdepersonalizowana. Sprawstwo z reguły nie pojawia się w pamięci niemieckich rodzin – jedna trzecia Niemców uważa, że ich przodkowie byli ofiarami wojny".

Świadomość historyczną niemieckiego społeczeństwa najlepiej oddaje

Były niemiecki obóz zagłady Auschwitz-Birkenau

FOT. ADOBE STOCK

prawny

serial „Nasze matki, nasi ojcowie". Jest on efektem niemieckiej potrzeby odciążenia swojej pamięci, jednakże dzieje się to kosztem pamięci o polskich ofiarach wojny, bohaterstwie polskich partyzantów, a także pamięci o sprawstwie Holokaustu. W jego produkcji wzięła udział niemiecka telewizja publiczna (ZDF). Kurtyna opadła. Niemieckie publiczne instytucje same ujawniły się w roli kluczowych aktorów procesu zniekształcania w powszechnej świadomości historycznej pamięci o odpowiedzialności Niemiec za drugą wojnę światową.

OFIARY SIĘGAJĄ PO PRAWO

Wydawca dziennika „Die Welt" był pierwszym, który został pozwany przez Zbigniewa Osewskiego przed polskim sądem za formułowanie wypowiedzi sugerujących, jakoby to Polacy byli odpowiedzialni za powstanie takich obozów zagłady jak Auschwitz, Majdanek i Sobibór. Sprawa ta budziła nieznaczne zainteresowanie opinii publicznej. Idea pociągania do odpowiedzialności cywilnej przed polskim sądem zagranicznych dziennikarzy za wypowiedzi o „polskich obozach" stanowiła raczej ciekawostkę.

Dopiero gdy niemiecka telewizja publiczna zaczęła dystrybuować serial „Nasze matki, nasi ojcowie", polityka historyczna Berlina przestała być wyłącznie tematem nieśmiałych badań historyków, wypowiedzi niektórych polityków czy aktywności społeczników. Stała się przedmiotem ogólnokrajowej debaty. Zwiększył się krąg osób zainteresowanych skorzystaniem z prawnych środków przeciwdziałania fałszowaniu pamięci o niemieckim sprawstwie zbrodni.

Janina Luberda-Zapaśnik, działaczka organizacji zrzeszającej byłych więźniów obozów koncentracyjnych, starająca się zachować w świadomości społecznej pamięć o członkach jej rodziny i innych ofiarach pomordowanych w obozie Lebrechtsdorf, pozwała wydawcę serwisu internetowego Focus online. Również Karol Tendera, były więzień obozu Auschwitz, wieloletni działacz na rzecz upowszechniania wśród młodzieży pamięci o cierpieniach więźniów w obozach zagłady, zdecydował się – z pomocą prawników Stowarzyszenia Patria Nostra – pozwać telewizję ZDF za wypowiedź o „polskich obozach" opublikowaną na jej stronie internetowej. To właśnie jego żądanie opublikowania przeprosin, wsparte stanowiskiem Rzecznika Praw Obywatelskich, zostało przez Sąd Apelacyjny w Krakowie uwzględnione w wyroku z dnia 22 grudnia 2016 r. Pierwszy raz polski sąd orzekł wobec niemieckiej telewizji publicznej nakaz przeproszenia polskiego obywatela za naruszenie jego dóbr osobistych w związku z posługiwaniem się określeniem „polski obóz zagłady". Następnie 23 marca 2021 r. Sąd Apelacyjny w Krakowie nakazał niemieckiej telewizji ZDF przeprosić Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie, reprezentowany przez prawników Reduty Dobrego Imienia, za to, że w serialu „Nasze matki, nasi ojcowie" AK została przedstawiona jako organizacja antysemicka.

Nierozstrzygnięte ostatecznie zostały jeszcze dwie sprawy zainicjowane przez Stanisława Zalewskiego, prezesa Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Również z pomocą prawników Stowarzyszenia Patria Nostra pozwał on wydawcę czasopisma „Mittelbayerischer" i wydawcę niemieckiego radia Bayerischer Rundfunk. Rozpowszechniały one bowiem wadliwe kody pamięci o obozach koncentracyjnych. Sprawy na razie nie mogą się toczyć, gdyż Sąd Najwyższy ma dopiero stwierdzić, czy mogą one być rozstrzygnięte przez polskich sędziów. Jest to pokłosie wyroku TSUE z dnia 17 czerwca 2021 r. w sprawie C-800/19. W wyroku tym TSUE, rozważając kwestię jurysdykcji w sprawach o naruszenie dóbr osobistych przez Internet, zakwestionował możliwość zastosowania

łącznika tzw. centrum spraw życiowych poszkodowanego naruszeniem dóbr osobistych, jeśli wypowiedź zniesławiająca nie odnosiła się wprost do poszkodowanego wnoszącego pozew. Sąd Najwyższy rozstrzygnąć ma, czy pomimo tego orzeczenia w tego rodzaju sprawach jest dopuszczalna jurysdykcja polska w oparciu o inne reguły kolizyjne. Takie stanowisko wyraził chociażby Rzecznik Praw Obywatelskich RP.

PARASOL TRYBUNAŁU

Jeśli Sąd Najwyższy otworzy Stanisławowi Zalewskiemu możliwość dochodzenia roszczeń przeciwko bawarskim wydawcom i uzyska korzystny dla siebie wyrok, nie oznacza to od razu, że zostanie on wykonany. Wspomniany już wyrok w sprawie przeciwko ZDF nie został dotychczas wykonany i to pomimo zakończenia postępowania kasacyjnego (ZDF cofnęła wniesioną przez siebie skargę kasacyjną). Los wyroku w sprawie serialu leży teraz w gestii polskiego Sądu Najwyższego. Niemniej jest to wyrok prawomocny. Po uzyskaniu klauzuli wykonalności może on stanowić podstawę postępowania egzekucyjnego.

integracji europejskiej, jednym z fundamentów funkcjonowania wolnego rynku. Obowiązywanie zasady uznawania w danym państwie członkowskim (np. w Niemczech) orzeczeń wydawanych przez sądy innego państwa członkowskiego (np. w Polsce) ma za cel utrzymanie i rozwój obszaru wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości, w którym zagwarantowany jest swobodny przepływ osób, a tym samym zapewnienie środków niezbędnych do należytego funkcjonowania rynku wewnętrznego.

Zgodnie ze wspomnianą zasadą wyrok wydany przez sąd jednego państwa członkowskiego może być egzekwowany w innym państwie członkowskim, np. zasądzona należność przez polski sąd ma być egzekwowana w Niemczech, jeżeli to w tym państwie znajduje się majątek pozwanego/dłużnika. Oznacza to, że organy egzekucyjne danego państwa winny dążyć do wykonania wyroku wydanego przez sąd innego państwa, tak jakby został on wydany przez sąd państwa, w którym ta egzekucja ma być przeprowadzona. Podstawową zasadą uznawania wyroków zagranicznych jest zakaz dokonywania przez sąd państwa,

Unijny ustawodawca dopuścił wyjątkowe sytuacje, w których może dojść do odmowy uznania zagranicznego wyroku

Wykonanie wspomnianych wyroków polskich sądów na chwilę obecną nie jest jednak możliwe. Wynika to z postanowienia Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, najwyższego organu sądowniczego, stojącego na czele niemieckiego sądownictwa cywilnego i karnego. Odmówił on uznania na terenie tego państwa wykonalności prawomocnego polskiego wyroku, nakazującego niemieckiej telewizji publicznej przeproszenie na swojej stronie internetowej Karola Tendery. Innymi słowy, zdaniem niemieckiego odpowiednika Sądu Najwyższego ZDF nie musi wykonywać polskiego wyroku i niemieckie organy egzekucyjne nie mogą na jego podstawie prowadzić egzekucji.

Tymczasem zasada uznawania w obrębie Unii Europejskiej wyroków jest jednym z ważniejszych elementów

w którym wyrok ma być uznany, oceny jego zasadności (np. badania, czy rzeczywiście pozwany/dłużnik miał obowiązek zapłacenia zasądzonej kwoty).

Unijny ustawodawca dopuścił wyjątkowe sytuacje, w których może dojść do odmowy uznania zagranicznego wyroku. Jednym z takich wyjątków jest zasada „ordre public" (porządku publicznego), czyli sytuacja, w której uznanie zagranicznego wyroku byłoby „oczywiście sprzeczne z porządkiem publicznym państwa członkowskiego, w którym wystąpiono o uznanie".

NIEMIECKA LOGIKA

To właśnie na wspomnianą zasadę powołał się niemiecki Trybunał, odmawiając wykonania w sprawie Karola Tendery prawa unijnego. Niemieccy sędziowie w uzasadnieniu postanowienia przekonywali, że treść przeprosin określonych przez Sąd Apelacyjny w Krakowie w części, w jakiej opisuje inkryminowaną wypowiedź, jako fałszowanie historii i naruszenie dóbr osobistych byłego więźnia obozu koncentracyjnego, jest opinią. W efekcie niemiecki ZDF – w ich ocenie – byłby w ten sposób sądownie zmuszony do publikacji i sygnowania cudzej opinii. Tymczasem, jak twierdzą niemieccy sędziowie, podstawową normą prawa niemieckiego jest wolność od głoszenia cudzych opinii.

Krytyka tego orzeczenia nie jest trudna. Zastosowanie klauzuli porządku publicznego jest zarezerwowane dla wyjątkowych sytuacji, w których sprzeczność skutków danego wyroku z porządkiem prawnym państwa uznającego jest oczywista. Powinna ona być dostrzegalna prima facie, czyli bez konieczności pogłębionych rozważań prawnych. Tymczasem to właśnie orzeczenie niemieckiego Trybunału prima facie budzi wątpliwość, a o oczywistości naruszenia prawa niemieckiego trudno tu mówić. Dość wskazać, że niemieccy sędziowie w I i II instancji nie dostrzegali sprzeczności pomiędzy sądowym nakazem opublikowania oświadczenia o określonej treści, nałożonym na ZDF przez Sąd Apelacyjny w Krakowie, a przyjętymi w Niemczech zasadami ochrony swobody wypowiedzi, mimo formułowania tego typu zarzutów przez prawników ZDF. Nie można też pominąć, że sądowy nakaz publikowania oświadczenia według wskazówek zawartych w orzeczeniu, jak wynika z wielu orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, nie stoi w sprzeczności ze swobodą wypowiedzi. Przede wszystkim jednak uzasadnienie orzeczenia niemieckiego Trybunału wskazuje, że niemieccy sędziowie nie byli zadowoleni z tego, jak polscy sędziowie rozstrzygnęli tę sprawę. To z kolei jest naruszeniem zakazu dokonywania merytorycznej oceny wyroku sądu innego państwa członkowskiego.

Jasne są również konsekwencje tego orzeczenia. Jeżeli Światowy Związek Żołnierzy AK podejmie się trudu egzekwowania wyroku przeciwko ZDF, to będzie musiał zwrócić się o to do niemieckich organów egzekucyjnych. Te zaś mają już wygodny argument, by odmówić wykonania polskiego wyroku, opierając się właśnie na precedensie postanowienia

Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w sprawie Karola Tendery. Nie można łudzić się również, że sądy innych państw członkowskich nie skorzystają z przykładu niemieckiego, skoro obeszło się to bez jakichkolwiek reperkusji ze strony instytucji odpowiedzialnych za prawidłowość stosowania prawa unijnego.

(NIE)PRAWORZĄDNOŚĆ

Karol Tendera zmarł, zanim jeszcze niemiecki Trybunał Konstytucyjny rozstrzygnął o jego skardze konstytucyjnej wniesionej przeciwko orzeczeniu sędziów z Karlsruhe. Jego syn, jako spadkobierca, wniósł skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Trzeba mieć jednak świadomość, że nie jest łatwo znaleźć poparcie dla kwestionowania orzeczenia niemieckiego Trybunału, nawet jeśli tak jawnie godzi w prawo unijne.

Komisja Europejska, „strażniczka prawa unijnego", poinformowana o tej sprawie, nie uznawała się za kompetentną do wyciągania wobec Niemiec jakichkolwiek konsekwencji za tego rodzaju niesubordynację. Oczywiście pewnym wyjaśnieniem mogą być skład Komisji Europejskiej i możliwość oddziaływania na nią przez Niemcy, chociażby poprzez samą przewodniczącą. Wydaje się, że niechęć przed zaognianiem relacji polsko-niemieckich może niestety również powstrzymywać polski rząd przed samodzielnym inicjowaniem przed TSUE procedury prawnej przeciwko Niemcom.

Jeszcze jednym ważnym czynnikiem jest wrażliwość państw na instytucję klauzuli porządku publicznego. Jej istotą jest umożliwienie państwom członkowskim uwolnienia się od skutków prawa innego państwa, które pozostają w sprzeczności z jego podstawowymi zasadami porządku prawnego. Jest ona wyrazem zasady suwerenności państwa. Choć dotyczy sytuacji wyjątkowych, to opiera się na swoistej dyskrecjonalnej decyzji danego państwa o tym, jakie zasady porządku prawnego uważa za podstawowe i nienaruszalne. Granice tej swobody państwa nie są jasno zarysowane i nikt nie odważy się ich sztywno określić.

W zasadzie żadne państwo nie jest też zainteresowane osłabianiem znaczenia klauzuli porządku publicznego. Taki zaś efekt może nastąpić w przypadku uznania kompetencji organu zewnętrznego wobec państwa do weryfikacji prawidłowości jej zastosowania. Również na forum polskim można znaleźć wypowiedzi wskazujące, że poddawanie niemieckiego orzeczenia weryfikacji np. TSUE lub innego podobnego organu może wywołać efekt puszki Pandory. W przyszłości może to otworzyć możliwość kwestionowania przez unijne instytucje również orzeczeń polskich sądów odmawiających wykonania zagranicznego wyroku stosującego przepisy sprzeczne z podstawowym porządkiem prawnym Polski.

Spór ten stanowi już dziś realne zagrożenie dla efektywności polskich orzeczeń w stosunkach transgranicznych

PRAWDA ZAKŁADNIKIEM

Innym istotnym zagrożeniem dla realizacji polskich wyroków dotyczących prawdy historycznej jest niestety toczący się w polskim wymiarze sprawiedliwości spór o władzę. Jedni powiedzą, że chodzi o reformę wymiaru sprawiedliwości, inni – że sednem jest stanie na straży praworządności i niezawisłości sędziów. Niezależnie jednak, jak poważnymi słowami będziemy starali się opisać zamieszanie powstałe wokół nominacji sędziowskich w Polsce, w swej istocie jest to spór o władzę, czyli o to, kto w Polsce ma prawo nazywać kogoś sędzią.

Niestety, spór ten otwiera zagranicznym kłamcom historycznym kolejny argument do ograniczenia lub uniemożliwienia wykonania wyroku wydanego przez polskich sędziów. Nie chodzi tu tylko o tzw. europejskie nakazy aresztowania, których zasadność realizacji zaczęły kwestionować sądy z Irlandii i Holandii, powołując się właśnie na „systemowe lub ogólne nieprawidłowości wywierające wpływ na prawo podstawowe do rzetelnego procesu". Naturalne jest, że osoby obawiające się odpowiedzialności karnej podejmowały każdy wysiłek, aby tylko oddalić chociażby w czasie moment doprowadzenia ich przed oblicze polskiego sądu. Argumentowały zatem, że w Polsce nie doczekają się sprawiedliwego procesu. W kwestii tej musiał się w końcu wypowiedzieć TSUE, który uznał, że same wątpliwości wobec organu uczestniczącego w procesie wyboru sędziego (czyli KRS) nie mogą przesądzać o tym, że w Polsce oskarżony nie może mieć zapewnionego dostępu do sprawiedliwego i rzetelnego sądu.

Podobnie zaczyna jednak dziać się również w dziedzinie prawa cywilnego. Sami autorzy niniejszego artykułu spotkali się z tym, że jeden z polskich wierzycieli nie może wyegzekwować we Francji wyroku zasądzającego na jego rzecz należności. Francuski dłużnik, kwestionując wykonalność polskiego wyroku na terenie Francji, przedłuża postępowanie egzekucyjne, powołując się właśnie na pozbawienie go w Polsce prawa do sprawiedliwego procesu. Uzasadnia to jedynie tym, że sędzia Sądu Najwyższego, który odmówił przyjęcia jego skargi kasacyjnej do rozpoznania, został wybrany przez KRS w składzie wyłonionym na podstawie przepisów prawa wprowadzonych reformą z 2017 r. Trzeba podkreślić, że argumentacja dłużnika nie opiera się na pogłębionej argumentacji prawnej, odnoszącej się do konkretnych okoliczności sprawy, ale na powielaniu wybranych artykułów prasowych, wypowiedzi publicystycznych czy motywów wyroków TSUE. Oczywiście pomijając te wypowiedzi TSUE, które przypominają, że same wątpliwości wokół procedury powołania sędziego nie przesądzają o braku przymiotu niezawisłości i gwarancji sprawiedliwego procesu.

Trudno stwierdzić jednoznacznie, jak efektywna okaże się obrona zagranicznego dłużnika, wykorzystującego istniejący spór pomiędzy Polską a instytucjami unijnymi. Niemniej spór ten stanowi już dziś realne zagrożenie dla efektywności polskich orzeczeń w stosunkach transgranicznych. Również tych wydanych w sprawach o naruszenie dóbr osobistych przez wydawców dopuszczających się rozpowszechniania wadliwych kodów pamięci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorzy są prawnikami, członkami stowarzyszenia Patria Nostra, broniącego przed sądami dobrego imienia narodu polskiego.

Zuzanna Dąbrowska

Rak polonofobii

Polonofobia za granicą jest zjawiskiem, które wciąż ma się dobrze. Co prawda, masowa pomoc Polaków dla ukraińskich uchodźców nieco przesłoniła produkowane na wielką skalę kłamstwa o naszym kraju, jednak nie oznacza to, że uporaliśmy się z problemem

Czerwiec 2022 r., pierwsze miesiące wojny. Polskie władze i polskie społeczeństwo ze wszystkich sił wspierają walczącą z rosyjskim agresorem Ukrainę. W tym samym czasie w Izraelu zaostrza się trwający od kwietnia kryzys polityczny, kolejny zresztą, w wyniku którego 30 czerwca doszło do samorozwiązania Knesetu. Nowe wybory zaplanowano na listopad. Tymczasem rząd Izraela ogłasza decyzję o odwołaniu wszystkich wycieczek szkolnych do Polski (zawieszonych od czasu pandemicznego lockdownu). Powód? Warszawa zdecydowała, że oficerowie ochraniający młodzież podróżującą do naszego kraju nie mogą być uzbrojeni. Izraelskie media twierdzą, że do tej pory funkcjonariusze Szin Bet (odpowiednik ABW), którzy zawsze towarzyszyli wycieczkom, mogli mieć przy sobie broń. Przechadzając się w okolicach ulicy Anielewicza na Muranowie, gdzie znajduje się pomnik Bohaterów Warszawskiego Getta, a także Muzeum Żydów Polskich POLIN, często można było dostrzec uzbrojonych, groźnie wyglądających ochroniarzy. Widokowi temu towarzyszyło nieodparte poczucie zagrożenia, które jakoby miało być normą podczas wizyt Izraelczyków w Polsce. Ktoś nieznający polskich realiów mógł myśleć, i to nie bez przesłanek wynikających z rozumowania przyczynowo-skutkowego, że gdyby nie ta broń, młodzieży stałoby się na polskiej ziemi coś złego. Cóż z tego, że do takich incydentów po prostu nie dochodziło. Wyjaśnienie jest proste – Polacy, mieszkańcy Muranowa i okolic traktowali izraelskie wycieczki jak wycieczki z każdego innego kraju. Nieuzasadniony strach był emanacją polonofobii. Władze w Tel Awiwie uznały najwyraźniej, że wzięcie na tapetę zatargów z Warszawą może opłacać się politycznie w dobie kryzysu. Wiadomo bowiem, że nic nie jednoczy tak, jak wspólny, najlepiej polski, wróg.

„Polska jest oczywiście otwarta na uregulowanie tej sprawy, na to, by te wycieczki, wizyty, odbywały się w dalszym ciągu, ale nie możemy sobie pozwolić na sytuacje, w których Polska może się jawić jako państwo niebezpieczne, przed którego obywatelami trzeba chronić młodzież izraelską, przybywającą do nas. Także sytuacja, w której służby innego państwa przebywają z bronią na terytorium naszego kraju, jest w dalszym ciągu nie do tolerowania" – wyjaśniał rzecznik MSZ Łukasz Jasina. Z kolei wiceszef polskiej dyplomacji Paweł Jabłoński wskazał, że w grudniu 2021 r. Polska przekazała stronie izraelskiej, iż wznowienie wyjazdów zorganizowanych grup młodzieży do Polski wymaga zmiany ich formuły.

FOT. ADOBE STOCK

MSZ zaproponowało przystąpienie do negocjacji nowej umowy w tej sprawie. Na początku kwietnia 2022 r. Polska przedłożyła projekt umowy, wyrażając gotowość do niezwłocznego przystąpienia do negocjacji. „Dotychczasowa formuła wyjazdów wymaga zmian z uwagi na systematycznie generowane problemy, prowadzące do umacniania fałszywych stereotypów, co negatywnie wpływa na stosunki między naszymi krajami i narodami" – wskazał Jabłoński. I dodał, że „na bazie dotychczasowych doświadczeń oceniamy, że młodzież izraelska często wraca z tych wyjazdów z negatywnymi odczuciami wobec dzisiejszej Polski i Polaków". Problemem była zatem nie tylko broń ochroniarzy, lecz także to, że odwiedzający Polskę Izraelczycy byli prowadzani jedynie do miejsc utwierdzających ich w przekonaniu, że nasz kraj był w czasie drugiej wojny światowej złym bądź – w najlepszym wypadku – obojętnym na krzywdy Żydów gapiem. Warszawa chciała więc m.in. wprowadzenia do wyjazdów elementu integracji z młodzieżą polską.

Casus zawieszonych wycieczek pokazuje, jak głęboka i systemowa polonofobia panuje w Izraelu. Nadzieją na poprawę relacji była rozmowa (pierwsza od dwóch lat!) szefów MSZ obu krajów – Zbigniewa Raua i Eliego Cohena, która obyła się na początku lutego. Padły w niej deklaracje o konieczności naprawy relacji polsko-izraelskich. Pytanie: Na ile jest to szczera chęć, a na ile czcza obietnica? Premierem jest przecież znowu stary-nowy szef rządu Beniamin Netanjahu, który mistrzowsko potrafi wykorzystywać politykę zagraniczną do załatwiania politycznego interesu wewnątrz kraju. I to w jego rządzie w latach 2019–2020 ministrem spraw zagranicznych był Israel Katz, który wywołał w Polsce burzę, mówiąc w lutym 2019 r.: „Było wielu Polaków, którzy kolaborowali z nazistami i – tak jak powiedział Icchak Szamir, któremu Polacy zamordowali ojca – Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki. I nikt nie będzie nam mówił, jak mamy się wyrażać i jak pamiętać naszych poległych". Te słowa stały się jednym z najbardziej spektakularnych przykładów patologicznej niechęci do Polaków.

Casus zawieszonych wycieczek pokazuje, jak głęboka i systemowa polonofobia panuje w Izraelu

ZIDEOLOGIZOWANE ŹRÓDŁO

Polonofobia polegająca na szerzeniu pełnych uprzedzeń interpretacji różnych zdarzeń, zamiast faktów, niestety przyczynia się do budowy poczucia zagrożenia. „Polscy Żydzi nie czują się bezpiecznie, a zdaniem 85 proc. z nich antysemityzm to »dość duży« lub »bardzo duży problem«" – takie stwierdzenia znalazły się w raporcie Komisji Stanów Zjednoczonych na temat antysemityzmu w Europie (przeanalizowano sytuację z 11 krajach). „Żydowskich przywódców niepokoi obecność w przestrzeni publicznej retoryki antysemickiej, którą posługują się m.in. skrajnie prawicowe

postaci polityki i mediów. Ostatnie debaty o Holokauście, historii i restytucji dotknęły drażliwych kwestii politycznych i uwolniły bezprecedensowe komentarze antysemickie" – wskazano w dokumencie. W raporcie zawarto wyniki badania unijnej Agencji Praw Podstawowych z 2018 r., z których wynika, że 32 proc. polskich Żydów doświadczyło przynajmniej jednego zachowania o podłożu antysemickim w okresie roku, 50 proc. z nich obawia się, że może to spotkać ich rodzinę i przyjaciół, a 42 proc. rozważało emigrację. Ekspertem, na którego powołują się Amerykanie, jest socjolog Rafał Pankowski ze skrajnie zideologizowanego stowarzyszenia Nigdy Więcej.

W tym kontekście warto zauważyć, że bez wsparcia badaczy z Polski polonofobia za granicą nie byłaby tak żywa. Obok Pankowskiego rolę „nie do przecenienia" odgrywają tutaj m.in. Jan Grabowski i Barbara Engelking, redaktorzy „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski", oraz prof. Michał Bilewicz z Centrum Badań nad Uprzedzeniami Uniwersytetu Warszawskiego.

Efekty ich pracy widać np. w mediach społecznościowych. Jednym z ostatnich przykładów jest dyskusja, którą wywołała na Twitterze Katherine Wertheim, amerykańska ekspertka w dziedzinie zbiórek pieniędzy. W serii wpisów przekonywała ona, że w czasie Holokaustu „Polacy zabili więcej Żydów niż Niemcy" oraz że „podczas Holokaustu nie było polskich gapiów" (co oznacza, że bierność Polaków wobec tragedii Żydów nie wynikała z „zagapienia się" lub nieuwagi, ale była zawsze celowa). „Polska była tylko w 10 proc. żydowska, ale 9 na 10 polskich Żydów zginęło. Wśród nieżydowskich Polaków zginęło tylko 6 proc." – wyliczała Wertheim, dowodząc, że liczby te pokazują postawę Polaków. W swoich tweetach nie wspomniała nawet, że tak wysoki odsetek polskich Żydów, którzy stracili życie, to efekt polityki niemieckiego okupanta prowadzonej na naszych ziemiach. Katherine Wertheim próbowała stawiać za przykład Danię. „Spójrzmy na Danię. Podczas gdy Polska straciła 90 proc. swoich Żydów, Dania straciła tylko 10 proc. swoich Żydów. Dlaczego?" – pyta retorycznie Amerykanka, znowu pomijając kluczowy fakt. Dania prowadziła wobec Niemiec – w przeciwieństwie do Polski – politykę kolaboracji. Co prawda, jest to wiedza powszechnie dostępna, jednak aby ją posiąść, potrzeba dobrej woli i wyjścia poza tezy Grabowskiego i Engelking, na których opracowanie powoływała się Wertheim. Brak takiej dobrej woli jest ewidentnie przejawem niechęci do narodu polskiego.

Polonofobia, będąca często nieuświadomionym, odruchowym, negatywnym stosunkiem do wszystkiego, co polskie, nie dotyczy jedynie szeroko rozumianej polityki historycznej

EUROELITY PRZECIW POLSCE

Jednak polonofobia, będąca często nieuświadomionym, odruchowym, negatywnym stosunkiem do wszystkiego, co polskie, nie dotyczy jedynie szeroko rozumianej polityki historycznej. Co powinno budzić wyjątkowy niepokój, na forum UE polonofobia przybiera formę instytucjonalną. To choroba tocząca unijne elity, której najbardziej jaskrawym przejawem jest podważanie funkcjonowania w naszym kraju demokracji. Polska, jako kraj „ułomny", ma nie korzystać z „unijnego tortu". Co to oznacza? Więcej dla innych. Wyniesiona do wartości nadrzędnej „praworządność" stała się wytrychem pozwalającym na notoryczne stawianie Polski pod pręgierzem. Ktoś mógłby wskazać, że być może unijni decydenci mają rację i faktycznie nad Wisłą dzieje się źle, a polonofobia to jedynie wymysł „nacjonalistów i faszystów". Nic bardziej mylnego. Przykład? Polska jest krytykowana i karana za wprowadzenie rozwiązań niemal identycznych, a nawet bardziej łagodnych niż kraje „starej UE". Chodzi m.in. o Krajową Radę Sądownictwa, którą w Polsce, tak samo jak w Hiszpanii, w części powołuje parlament. Tymczasem w jednym z kolejnych raportów KE poinformowała, że „reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości [...] budzą poważne obawy". Wobec Madrytu takich zarzutów nie było. Problem dobrze obrazuje też krytyka, która spadła na polski Trybunał Konstytucyjny po tym, jak jesienią 2021 r. (kolejny raz) orzekł prymat prawa krajowego nad prawem unijnym. Wyrok nie spodobał się ówczesnemu ministrowi spraw zagranicznych Heiko Maasowi oraz znanej z obrzydliwej wypowiedzi o „finansowym zagłodzeniu Polaków i Węgrów" wiceprzewodniczącej Parlamentu Europejskiego Katarinie Barley. Jednak ani Maas, ani Barley nie wspomnieli, że podobne wyroki analogicznych sądów zapadły we Francji, Włoszech, w Hiszpanii oraz Rumunii.

Ten powszechny w instytucjach UE zupełny brak zdolności do obiektywnej oceny sytuacji zaprezentował także belgijski eurodeputowany Guy Verhofstadt, odnosząc się do blokowania środków z Krajowego Planu Odbudowy. „Witamy na początku nowego roku politycznego, w którym stare problemy polityczne Europy pozostają na stole… Bez względu na to, jak kluczową rolę Polska odgrywa w pomaganiu Ukrainie, NIE otrzyma unijnych funduszy naprawczych, chyba że w pełni przywróci rządy prawa!" – napisał na początku stycznia. Co więcej, ten były premier Belgii nawoływał, aby odwołać szefową KE Ursulę von der Leyen, jeśli ta uruchomi wypłatę pieniędzy dla Polski z Funduszu Obudowy. Na równi z „brakiem praworządności" UE przez długi czas biczowała Polskę również za wymyślone przez aktywistów „strefy wolne od LGBT", które mają rzekomo funkcjonować w naszym kraju. Rzecz jasna takich obszarów, do których homoseksualiści nie mogliby wchodzić, w Polsce nie ma.

„JAKIE REPARACJE?"

Skalę polonofobii pokazało podjęcie przez obecny rząd tematu walki o odszkodowania wojenne od Niemiec. Począwszy od bardziej delikatnych, acz zdecydowanych stwierdzeń napływających z Berlina, głoszących, że Polsce nie należy się nic (w przeciwieństwie do np. Namibii, która ma uzyskać od Niemiec ponad miliard euro zadośćuczynienia za masakrę ludów Herero i Nama dokonaną w latach

1904–1908) i sama dyskusja wydaje się być dalece niewłaściwa, a skończywszy na otwartym przekłamywaniu historii. Magazyn związany z niemiecką partią AfD oskarżył nas o współudział w wywołaniu drugiej wojny światowej. „Przeczytajcie, jak polski szowinizm, skierowany nie tylko przeciw Niemcom, lecz także przeciw Związkowi Sowieckiemu, szybko się rozwijał i odegrał niemałą rolę w wybuchu drugiej wojny światowej. I dowiedzcie się, jak 14 milionów Niemców zostało przymusowo wypędzonych z ojczyzny zimą 1944/1945 lub torturowanych i zamordowanych w obozach śmierci, takich jak Łambinowice, Jaworzno czy Świętochłowice" – tak reklamuje się magazyn „COMPACT-Geschichte".

Wściekły atak na Polskę nastąpił po tym, jak nasza dyplomacja podjęła aktywne działania informacyjno-polityczne w Stanach Zjednoczonych. Gazeta odwraca porządek rzeczy i pisze m.in. o „Niemcach za drutem kolczastym: śmierć w polskich obozach internowania" czy „pobrzękiwaniu szabelką z Warszawy: plany wojenne Polski przeciwko Niemcom". I choć „COMPACT-Geschichte" w 2021 r. został uznany przez władze federalne „za prawicowo ekstremistyczny", to znajduje niemałą grupę odbiorców (miesięcznik ma nakład 40 tys. egzemplarzy). Niemcy w perfekcyjny sposób opanowali – jak to ujął socjolog, doradca prezydenta Andrzeja Dudy, prof. Andrzej Zybertowicz – „naziwashing", czyli „oddzielenie nazizmu od niemieckości". To jednak nie udałoby się bez znalezienia kogoś, na kogo można by przerzucić swoje winy. Dogodnym kandydatem do roli kozła ofiarnego stała się Polska. Historyk prof. Bogdan Musiał, w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl, tak podsumował postawę naszego sąsiada: „W niemieckim społeczeństwie nie ma świadomości, że Niemcy zrobili Polakom coś strasznego podczas drugiej wojny światowej. Oni mają swoją politykę historyczną, uwierzyli, że się rozliczyli ze wszystkiego. Niemcy uwierzyli, że są czyści, i pytają: Jakie reparacje?".

Jednak nie trzeba sięgać poza granice kraju, aby dostrzec przejawy polonofobii. W maju ubiegłego roku gdański sąd okręgowy uniewinnił (nieprawomocnie) od wszystkich zarzutów Hansa G., niemieckiego przedsiębiorcę działającego na Pomorzu. Tak mówił on do swoich podwładnych: „Zabiłbym wszystkich Polaków. Nie miałbym z tym problemu". Sprawę wytoczyła mu była pracownica Natalia Nitek-Płażyńska, która relacjonowała, że Niemiec mówił, iż „Polaków trzeba tępić jak robactwo". Tymczasem polski sąd uznał, że słowa oraz zachowania Hansa G., takie jak wydawanie odgłosu strzelania, były na tyle absurdalne, że trudno byłoby je przekuć w realne działanie. Problemu więc – według sędziego Andrzeja Halińskiego – nie ma.

NASTĘPNI DO „DENAZYFIKACJI"

Trwająca agresja Rosji na Ukrainę pokazała skalę nienawiści do Polski moskiewskich elit. Ma ona wymiar zarówno współczesny, jak i historyczny, choć oba te wymiary się przenikają. W przypadku Rosji polonofobia stanowi emanację kompleksów. Nie przez przypadek kraj ten Dzień Jedności Narodowej obchodzi 4 listopada, czyli w rocznicę zdobycia w 1612 r. Kremla moskiewskiego, opanowanego wcześniej przez wojska Rzeczypospolitej w wyniku wojny polsko-rosyjskiej. Bezprecedensowe wsparcie Warszawy dla zaatakowanego 24 lutego 2022 r. Kijowa jedynie dolało oliwy do ognia rosyjskiej polonofobii. Były prezydent, a obecnie wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej Dmitrij Miedwiediew w telegramowym wpisie, przypominając o wydarzeniach z XVII w., stwierdził: „Wówczas, jak wiecie, nasi ludzie z różnych klas i rodów, zapominając o sporach i jednocząc się w obronie ojczyzny, ostatecznie wyrzucili motłoch bezczelnych Polaków z Rosji" – stwierdził. Z kolei Aleksander Dugin, jeden z ideologów Kremla, nazywany „mózgiem Putina", określił Polskę mianem „kordonu sanitarnego" między Rosją a Niemcami oraz fikcyjnym państwem utrzymywanym przez USA. Przewodniczący Komisji Kontroli Dumy Państwowej Oleg Morozow, komentując słowa premiera Mateusza Morawieckiego, który porównał „ruski mir" do nowotworu, stwierdził: „Swoimi wypowiedziami o Rosji jako »nowotworze« i o »kontrybucji«, którą musimy wypłacić Ukrainie, Polska zmusza nas, aby umieścić ją na pierwszym miejscu w kolejce do denazyfikacji, tuż po Ukrainie". Gdyby ziściły się projekcje i groźby najzacieklejszych wrogów Polski, nasz kraj stałby się żałosnym parapaństwem albo przestałby istnieć zupełnie. To wystarczy do zobrazowania rosyjskiej polonofobii.

Trwająca agresja Rosji na Ukrainę pokazała skalę nienawiści do Polski moskiewskich elit. Ma ona wymiar zarówno współczesny, jak i historyczny, choć oba te wymiary się przenikają. W przypadku Rosji polonofobia stanowi emanację kompleksów

Mając świadomość niełatwej rzeczywistości i ogromu przekłamań, które dotykają Polski, najlepszym, co można zrobić, obok działań dyplomatycznych (m.in. kwestii przywrócenia wycieczek z Izraela, ale już na naszych zasadach) i bacznego monitorowania mediów pod kątem nieprawdy, jest inwestowanie w edukację i kulturę. Z dużym powodzeniem robi to już Instytut Pileckiego, który prężnie działa w Berlinie, organizując ważne (i odważne) debaty i wystawy. W planach jest otwarcie w przyszłości podobnych placówek w newralgicznych z puntu widzenia polonofobii miejscach, czyli w Izraelu oraz w USA. Niewykluczone, że Instytut Pileckiego będzie działał też na terenie Szwajcarii. Ciekawą i wartą kontynuacji akcją jest projekt „Opowiadamy Polskę światu", realizowany przez Instytut Nowych Mediów. W jego ramach w największych światowych tytułach ukazują się teksty polskich polityków, historyków i intelektualistów poświęcone historycznej i współczesnej roli Polski w budowaniu naszego regionu. To jednak wciąż za mało. Historycy mówią o konieczności stworzenia szerokiego, wielomilionowego programu grantowego i stypendialnego dla badaczy z kraju i zagranicy, w ramach którego powstawać będą prace przestawiające historię i obecną sytuację Polski. Niekoniecznie przez „różowe okulary", ale po prostu uczciwie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

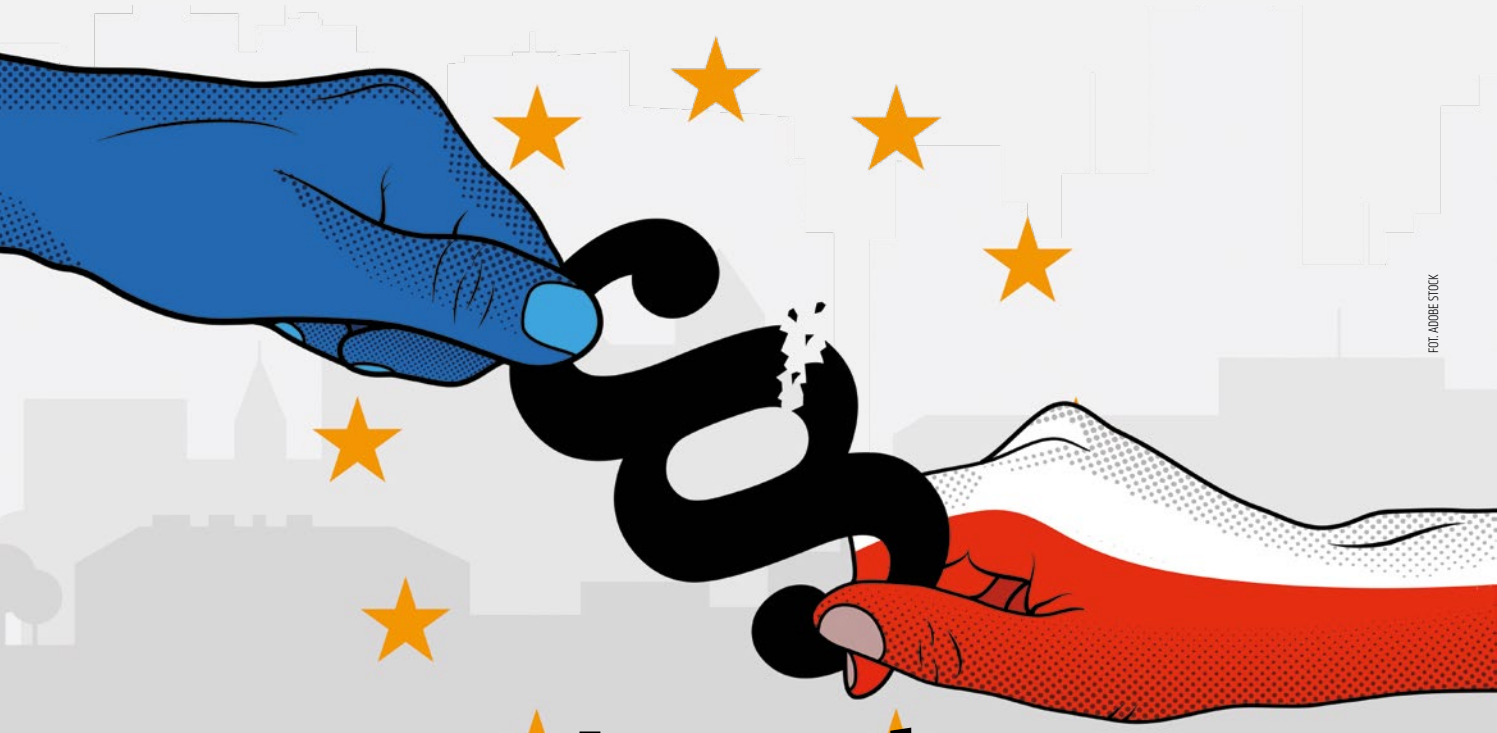

FOT. ADOBE STOCK

PE przeciw Polsce

Karol Gac

Od przejęcia władzy w 2015 r. Zjednoczona Prawica mierzy się z bezpardonowymi atakami na Polskę w Parlamencie Europejskim, które prowadzone są pod hasłem „walki o praworządność". Wykorzystywane są wszystkie instrumenty, które mogą pomóc w osiągnięciu założonego celu. A ten jest prosty – zmiana władzy w Warszawie

W ostatnich miesiącach Parlamentem Europejskim wstrząsnęła największa afera korupcyjna w historii. Wszystko za sprawą grupy eurodeputowanych, którzy w zamian za łapówki pochodzące z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej wygłaszali o nich pozytywne opinie albo wpływali na unijne prawodawstwo. Choć wciąż nie znamy wszystkich szczegółów tego procederu, to wielu polskich eurodeputowanych zaczęło się zastanawiać, czy ataki wymierzone w Polskę były wyłącznie inicjatywą poszczególnych osób czy może jednak były efektem zewnętrznej inspiracji. Zwłaszcza że część atakujących nasz kraj europosłów już teraz jest przedmiotem zainteresowania belgijskich służb. A trzeba przyznać, że Polska w szczególny sposób została wzięta na celownik przez liberalno-lewicową większość w PE.

Już w styczniu 2016 r., a więc zaledwie dwa (!) miesiące po wyborach wygranych przez Zjednoczoną Prawicę, w PE odbyła się debata o Polsce, podczas której ludowcy i socjaliści atakowali rząd w Warszawie za „niszczenie sądownictwa i mediów", co „może być początkiem autorytaryzmu". Bezpośrednim powodem zorganizowania jej była decyzja KE o rozpoczęciu procedury wyjaśniającej w sprawie zmian w funkcjonowaniu polskiego Trybunału Konstytucyjnego.

Warto zauważyć, że debaty o Polsce szybko stały się jednym z ulubionych zajęć europosłów, którzy organizowali je niemal przy każdej nadarzającej się okazji. Dość powiedzieć, że w październiku 2016 r. odbyła się ona w związku z... projektem obywatelskim „Stop aborcji". Europejscy socjaliści argumentowali, że choć za projekt nie odpowiadał PiS, to jednak decyzją posłów tego ugrupowania przeszedł on do dalszych prac w Sejmie. W efekcie lewica i liberałowie ochoczo załamywali ręce nad katastrofalną sytuacją kobiet w Polsce. – Mam nadzieję, że Polska nie zahamuje postępu w kwestii równości płci – mówiła Věra Jourová.

SUPREMACJA VERHOFSTADTA

Głośnym echem odbiły się również debata i rezolucja z listopada 2017 r., gdy PE wezwał polski rząd do „prze-

strzegania postanowień dotyczących praworządności". Europarlament zainicjował wówczas własną procedurę, która miała doprowadzić do uruchomienia art. 7 wobec Polski. W dokumencie znalazł się również apel PE do polskiego rządu, by potępił „ksenofobiczny i faszystowski" Marsz Niepodległości. Odniesienie nie było przypadkowe, ponieważ podczas debaty Guy Verhofstadt powiedział, że „tysiące faszystów, neonazistów i zwolenników supremacji białej rasy przemaszerowało 300 km od Auschwitz". Choć eurodeputowani PiS domagali się ukarania Verhofstadta, to ostatecznie nie poniósł on żadnej odpowiedzialności.

W grudniu 2017 r. KE uruchomiła wobec Polski formalne postępowanie w ramach art. 7 unijnego traktatu, zarzucając władzom w Warszawie naruszenie zasad praworządności w zapisach ustaw reformujących sądownictwo. To z kolei otworzyło przestrzeń do kolejnych debat i narzędzi nacisku na nasz kraj. W lutym 2018 r. odbyła się dziewiąta debata o sytuacji nad Wisłą, a miesiąc później, europosłowie w specjalnej rezolucji wyrazili zadowolenie z uruchomienia wobec Polski w art. 7. W 2019 r. PE postanowił zająć się projektem dotyczącym edukacji seksualnej w Polsce. W przyjętej rezolucji europosłowie wyrazili „głębokie zaniepokojenie niezwykle niejasnymi, szerokimi i nieproporcjonalnymi przepisami projektu ustawy, które de facto zmierzają do penalizacji upowszechniania edukacji seksualnej wśród nieletnich". W niedługim czasie odbyła się debata dotycząca praw osób LGBT i choć w założeniu miała ona dotyczyć sytuacji w całej UE, to szybko skupiono się na Polsce. Przykładowo: Sophie in 't Veld z frakcji Odnowić Europę krytykowała polskie władze za to, że uznały LGBT za „wroga" i „zachęcają do tworzenia stref wolnych od LGBT". – W 2019 r., w sercu Europy, są miejsca w Polsce, w mojej ojczyźnie, do których nie mogę wejść – przekonywał wówczas europoseł Robert Biedroń, który jednocześnie nie był w stanie wymienić żadnego z tych miejsc, o co został poproszony przez Patryka Jakiego. – Ostatnie lata doskonale pokazują, jak eurokraci sięgają selektywnie po zasady i wartości, a raczej antywartości, które traktują jako narzędzie budowania utopii scentralizowanej UE, wbrew traktatom i zdrowemu rozsądkowi. Unijna wierchuszka chce wypełnić UE fantasmagoriami ideologicznych projektów, związanych np. z promocją LGBT, Zielonym Ładem czy szerszymi zamianami kulturowymi odgórnie zaplanowanymi przez lewicowo-liberalne elity Berlina czy Brukseli – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy" wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Początek 2020 r., podobnie jak w latach poprzednich, przyniósł nową rezolucję PE w sprawie praworządności w Polsce i na Węgrzech. Tym razem eurodeputowani stwierdzili, że w Polsce dochodzi do ciągłego pogarszania się stanu praworządności. Z kolei we wrześniu PE przyjął rezolucję, w myśl której w Polsce dochodzi m.in. do „masowych aresztowań, których ofiarą padło 48 działaczy LGBT". – Musimy jasno powiedzieć, że środki unijne nie trafią do Polski, jeśli będą naruszane podstawowe prawa grup LGBT – mówiła wiceszefowa KE Věra Jourová. Ponadto europosłowie wyrazili również obawy dotyczące systemu legislacyjnego i wyborczego, niezależności sądownictwa i praw podstawowych w Polsce. – To absurdalne zarzuty, które są próbą zakwestionowania samej istoty demokracji – mówił wówczas minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro.

Polska stała się bardzo wygodnym celem. Z roku na rok krytyka naszego kraju była coraz bardziej ostra

WYGODNY CEL

W 2021 r. w Parlamencie Europejskim odbyła się debata pod niezwykle neutralnym tytułem „Plany podważenia dalszych praw podstawowych w Polsce, w szczególności w zakresie standardów Europejskiej Konwencji Praw Człowieka oraz Zdrowia i Praw Seksualnych i Reprodukcyjnych". Z kolei w październiku PE głosował nad rezolucją „w sprawie kryzysu praworządności w Polsce i nadrzędności prawa UE", przygotowaną przez pięć grup politycznych, w której wyrażono uznanie „dla dziesiątek tysięcy polskich obywateli, którzy wyszli na ulice w masowych pokojowych protestach, walcząc o swoje prawa i wolności obywateli europejskich", a także podkreślono, że „nielegalny Trybunał Konstytucyjny nie tylko nie ma mocy prawnej i niezależności, lecz także nie jest uprawniony do dokonywania wykładni konstytucji w Polsce".

To oczywiście zaledwie kilka przykładów z ostatnich lat. Tym bardziej że dla wielu eurodeputowanych Polska stała się bardzo wygodnym celem. Nie dość, że nie ponoszą oni żadnej odpowiedzialności za swoje słowa, to w dodatku mogą zapunktować u swoich wyborców i partii. Nic dziwnego, że z roku na rok krytyka naszego kraju była coraz bardziej ostra. Przykładowo: niemiecka wiceprzewodnicząca PE Katarina Barley mówiła o „finansowym zagłodzeniu państw, takich jak Polska i Węgry". Z kolei Juan Fernando López Aguilar (przewodniczy Komisji Wolności Obywatelskich PE) podczas jednej z dyskusji zapytał prowadzących spotkanie Radosława Sikorskiego i prof. Wojciecha Sadurskiego, w jaki sposób PE może pomóc opozycji. – Czego jeszcze można oczekiwać? Bo my w obecnej sytuacji zrobiliśmy wszystko, co było możliwe – pytał Aguilar. – Widzimy tutaj cel krótkofalowy, który eurokraci przyjęli, a on jest bardzo prosty, czyli jesienne wybory parlamentarne w Polsce i odsunięcie od władzy Zjednoczonej Prawicy oraz zastąpienie jej dzisiejszą opozycją, która ma inny stosunek do prominentnych polityków UE. Jeśli więc pyta mnie pan, czy działania instytucji unijnych wobec Polski mają oparcie w prawie i traktatach, to odpowiedź brzmi: nie, nie mają – mówi „Do Rzeczy" dr Michał Sopiński, prorektor Szkoły Wyższej Sprawiedliwości.

– Polska musi otrząsnąć się wreszcie ze zwodniczego przekonania, że jedynie uległość wobec wiecznie niezaspokojonych zachodnich liberałów przyniesie nam zyski. Musimy wreszcie wejść w buty unijnych graczy, gdzie liczą się pieniądz i interes, a nie sentymenty i romantyczne przekonanie, że mamy rację. Unijna gra to przede wszystkim pragmatyzm i zimna kalkulacja – konkluduje wiceminister Romanowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone